ROZMAITOŚCI.

Dnia 8. Lutego **Ner 6.** **Roku 1854.**

Szały taneczne

w cztérnastym i pietnastym wieku.

(Dokończenie.)

Tarantuła, nie myślmy że się rozwija z ukąszenia gadu, czyli raczéj pająka Apulskiego znanego w historyi naturalnéj pod nazwiskiem: „Lycosa Tarantula“; bo chociaż wydarzają się napady słabości nerwowych z ukąszenia właściwéj tarantuły lub skorpiona czyli niedźwiadka, trudno atoli wierzyć by te ukąszenia tak były mnogie, żeby aż całe Włochy południowe nabawić taką szaloną zaciekłością do tańca, jaka się objawiła po przebytéj morowéj zarazie, czarnéj śmierci i powietrzu w dwunastym; trzynastym i cztérnastym wieku. Do tego choroba ta nie wybuchała nagle, ale się szérzyła, wzmagała, rosła; najprzód napadała ludzi pojedyńczo miejscami, a przy końcu pietnastego i z początkiem szesnastego wieku opanowała wszystkie ziemie włoskie i nabawiła taką trwogą, że wszystko drżało na wspomnienie tarantuły. Uczony Perotti, świadek naoczny (rodził się r. 1430), piérwszy spisał symptomata téj choroby, i powiada: „Jedni z pomiędzy rażonych płakali, drudzy a takich było najwięcéj, śmiali się, skakali, wywijali się, tańczyli, wykręcali ciało w najdziwaczniejszy sposób, zaciekali się szczególnie gdy zasłyszeli muzykę, w szaleństwie miotali sobą, aż wreszcie z sił wycieńczeni padali bez zmysłów. Kończyło się śmiercią, a jeżeli który odżył, zostawał na całe życie w obłąkaniu i niedołęztwie; ci utracali wzrok, inni słuch, innym znowu odejmowało mowę, a wszyscy pozbawieni zostawali uczucia na wszelkie wrażenie.“

Jeden tylko był na to środek: muzyka. Dźwięki i tony muzyki wzruszały jak rószczka czarodziejska; omdlały na odgłos fletu, bębenka lub cytry rozwierał oczy, podnosił się, przechwiewał za taktem melodyi, wreście się zrywał i zataczał w namiętny taniec. Co przytém zastanawiało, że wieśniactwo, acz wcale nieokrzesane, w pląsach tak było zgrabne, w obrotach tyle zwinne, układne i przyzwoite, jak gdyby to się w sztuce tancerskiéj rodziło.

Otóż jeżeli choroba smutna, leki zato były wesołe, i namnożyło się wtedy po Włoszech lekarzy tego rodzaju niemal tyle co chorych. Gdzie wieś i miasto,

brzmiały odgłosy piszczałek, klarynetów, cytry i bębenków, a wszędzie czekały i witały tłumy chorych tych zwieścicieli zbawienia. Alessandro ab Alessandro opowiada o jakimś młodym chłopaku a mocno dotkniętym tarantułą; najprzód stał wzrok chciwie wlepiony w bębenek, potém z powagą rozchwiewać się zaczął, wnet stawiał kroki, wkrótce przyspieszał, daléj coraz silniéj i silniéj wytężał, wkońcu tańczył tak że w skokach i pląsach drżały w nim członki jak na sprężynach popowieszane. W obawie ostatecznego sił przetężenia, zamilkła muzyka, chłopiec na to padł bez zmysłów i zdrętwiał, aż go znowu muzyka z omdlenia po chwili ocuciła, i powtórnie w zamąt taneczny gwałtownie uniosła.

Cały świat wtedy żył w przekonaniu, że muzyka rozprowadza jad tarantuły po całém ciele, że jad rozchodząc się po krwi, drażni i łechce nerwy, podnieca do skoków i tańca, a człowiek ulegając popędowi znajduje w gwałtownych ruchach zbawienie przez to, że cały jad przez pory z za skóry na wiatr uchodzi. Wiara ta nie sprawdzała się wszędzie, przynosiła poniekąd ulgę chwilową, ale gdy po roku letne słońce przygrzało, pacyent wpadał napowrót w ponurość, zadumanie, potém w zemdlenie, w słabość tak zwanéj Ś. Walentego choroby, i ażeby ozdrowieć, znowu potrzeba było uciekać się do muzyki.

Ciekawe rzeczy w téj mierze spisali uczeni włoscy, mianowicie wyż wspomniany Alessandro ab Allessandro adwokat neapolitański, i Matthioli, i dodają że ta choroba nie oszczędzała żadnego stanu, a każdy z nich miewał swoje osobliwości, z jakiemi chory występował. Przytoczymy z ciekawych przykład jednego kapucyna w Tarencie. Gdy się rozeszła w mieście pogłoska o jego dziwacznych tańcach, udał się do klasztoru kardynał Cajetano, aby się samemu przypatrzyć czyli tak jest jak powiadają. Gdy wszedł, purpura książęca wywarła na mnichu takie wrażenie że przestał słuchać muzykantów przygrywających tarentellę, a zaczął przyskakiwać do kardynała w gestach tak zabawnych i dziwacznych, jak gdyby chciał popruć książęcy płaszczyk, nici poskręcać i zapachem z purpury uśmierzyć jakąś tęschnotę serca. Zapał w nim wzrastał, z zapałem rosło natręctwo że nareszcie musiano mnicha odtrącić, ale to go tak przeraziło że zemdlał. Kardynał aby go ocucić podał mu do rąk swój kołnierz, i ledwo go mnich miał w ręku ocknął się z zemdlenia, i z zachwyceniem radości przyciskał purpurę do piersi, do twarzy, do oczu, do czoła, potém tuląc ją do siebie, puścił się jak szalony w taniec nanowo. — Jak temu purpury, innym zachciwało się kąpieli w morzu, i w wodach morskich pokładali nadzieję zdrowia.

Najmocniéj grasowała tarantuła we Włoszech w siedmnastym wieku, a napadała nietylko krajowców ale i cudzoziemców. Murzyni, cyganie, goście z Hiszpanii, Albanii, tańczyli jak swoi. Ani wiek, ani pora nie chroniły przed tarantułą. Wrażba pląsów i melodya tarenteli tak się ludziom w pamięć wpoiła

że i zdrowi ludzie, byle zasłyszeli tarantelli, już im się zdawało że popadli w tarantułę, dziewięćdziesięcioletni starzec rzucał szczudło, i jak gdyby czarami upojony, rzucał się w kołło zdziczałéj tłuszczy i sam tańczył z niemi; Fernando widział raz pięcioletniego chłopca szalejącego obok dziada, a co jeszcze dziwaczniejsza że nawet głusi, którzy muzyki wcale słyszéć nie mogli, upojeni samym tylko widokiem tańcu, rzucali się w kołło i tańczyli z zagorzałymi.

W ośmnastym dopiéro wieku uśmierzyła się tarantuła; dziś, powiadają że zupełnie przygasła, co by było prawda, jeźli dowiodą że ukąszenie tarantuły bynajmniéj nie szkodzi. — Ale że na świecie nie zamarły szały taneczne, tego mamy świeższe dowody z Abisynii, i przytoczymy nieco z pism naocznego świadka, Doktora Nathanael Pearce, o którym wyżéj wspomnieliśmy.

„Raz — mówi Pearce — wezwał mię mój sąsiad, prosząc bym przybył w pomoc jego żonie, którą opanował szał taneczny. Ten sąsiad, był-to mój dawny towarzysz, poczciwy i wierny, dlatego-m codzień odwiedzał chorą, ale poznałem wkrótce że moje leki nic nie nadadzą. Chora przyjmowała je wprawdzie bez wstrętu, ale paroksyzma nie ustawały, gadała coś nieustannie czego ani ja ani jéj krewni nie mogli rozumieć. Trudno było pojąć i zapobiedz temu co ją raziło, na widok jakiéj książki albo księdza wpadała w konturzye gwałtowne, porywały ją kurcze, a łzy wyciskały się ze krwią. W tym opłakanym stanie już przepędzała trzy miesiące, a jadała tak mało że trudno było pojąć czém żyła. Czyniłem co tylko rozumiałem, a gdy już nic nie pomagało, postanowił mąż uciec się do zwyczajnego w Abisynii środka, i poczyniwszy należyte przygotowania, napożyczył u sąsiadów ile można było śrebrnych strojów i kosztowności, i ubrał w nie swą żonę jak najwspanialéj.

Ciekawy co z tego będzie, zasiadłem tego wieczora, kiedy się scena odbywać miała, przy łóżku mojéj pacyentki ażeby ją z oka nie spuścić i doświadczyć skutków; więc gdy trębacze grać zaczęli, widziałem gdzieś we dwie minut potém, jak się jéj trząść zaczęły najprzód plecy, potém głowa i pierś, nie minął kwadrans, chora podniesła się i usiadła na łóżku. Zastanowiło mię zkąd tyle siły w ciele o saméj skórze i kościach, ale jak gdyby na własne moje upokorzenie dziwić musiałem się patrząc na coraz wydatniejsze ruchy głową, szyją, plecyma, rękami i nogami i to takt w takt za muzyką, radość na twarzy, ale wzrok tak zapalony i srogi że przerażony musiałem się od niéj odsunąć. Po chwili zerwała się, stanęła na nogi, i dopiéroż na piękne tańczyć, chwilami podskakiwać; tu muzyka zaczęła grać silniéj, zgromadzenie śpiewem towarzyszyć, wrzawa powstała wielka, a pacyentka dała kilka susów może na trzy stóp w górę. Jeźli muzyka nadstawała, przejmowała ją widocznie największa niespokojność, a im wrzaskliwsze były dźwięki, tém weselszy uśmiech rozlewał się po twarzy. Przez cały ciąg tańcu nie widać było ani śladu osłabie-

nia na niéj, nawet i wtedy nie, kiedy muzykanci unużeni grać przestali, tylko że wtedy twarz jéj wyrażała niewymowną żałość.

Nazajutrz jak jest w zwyczaju, wyprowadzono ją na plac publiczny, gdzie poustawiane były szopki dla muzykantów i taneczników. Gdy się ludzie zebrali i muzyka zagrała, ruszyła moja pacyentka zaraz w tany i wyrabiać z siebie wykwinty jakich ani widziano. I to tak trwało przez cały dzień; pod wieczór zaczęła po jednemu zrzucać z siebie ozdóbki, wiesiadełka i opinki, tak że w przeciągu trzech godzin oswobodziła się ze wszystkich łańcuszków w które ją mąż był zestroił; jeden z jéj krewnych chodził i zbiérał za nią naramieniki, naszyjniki, opaski, kulce, pierścienie, szpinki i oddawał sąsiadom jak gdzie który pożyczył. O zachodzie słońca puściła się na prost biegiem z taką szybkością, że jéj koniem by nie dognał, wreszcie padła jakby strzałem rażona.

Żwawy jakiś chłopak puścił się za nią, nad głową jéj dał ognia ze strzelby, potém kindżałem płazował po plecach i pytał ją jak się nazywa, na co ona bez zwłoki odpowiedziała; i to był znak że już ozdrowiała, bo póki słabość trwa, chory nie słyszy siebie ani wie jak się nazywa. Przystąpili zatém mąż i krewni, i zabrali ją z miejsca osłabioną i wynędzniałą do domu, na wnijściu czekał ksiądz ażeby ją ochrzcić w imię Trójcy Świętéj na znak że powraca w grono chrześcian zkąd ją złe duchy odwiodły były. I na tém był koniec kuracyi.

Ale są chorzy, z którymi nie tak łatwa przeprawa; bywają, których dzień po dzień wyprowadzać potrzeba na plac i tańce ponawiać, a bywają przypadki także nie do uleczenia. Widziałem jednę chorą jak tańczyła z naczyniem „Maizy“ na głowie, i chociaż wyrabiała ciałem najdziwaczniejsze wykręty, przecież ani naczynie nie spadło, i ani kropelka się nie uroniła.

Gdybym sam świadkiem nie był, wahałbym się mówić o tém wszystkiém, i szczerze powiadam że ani-bym wierzył wszystkiemu com widział, gdybym sam wreszcie i to ze szkodą moją na méj własnéj żonie nie był téj choroby doświadczył. Moja żona jest rodem Greczynka, i z początku myślałem że ją zwykła próżność kobiéca łechce ażeby się wystroić, ozdobić w naszyjniki i opinki kosztowne, potém z muzyką wystąpić na widok i okazałością zadziwić zgromadzenie; więc w tém przekonaniu wziąłem ją na ustronie i we cztéry oczy ażeby ją upamiętać chciałem ją dobrze osmagać. Ale jakaż mię trwoga przejęła, gdy po piérwszym batogu padła bez duszy na ziemię; wszystkie członki, nawet palce u rąk podrętwiały i skośniały, i myślałem że istotnie już umarła, więc narobiłem w domu wrzawy że moja żona zemdlała, ale z czego poszło, tego nie mówiłem. W domu ludzie byli przygotowani, bo wiedzieli od dawna na co się zanosi, muzykantów trzymali pod ręką, i na co bym był wprzódy nigdy nie zezwolił, teraz sam prosiłem niech zagrają. Poruczyłem żonę jéj krewnym, przyczém tylko ubolewać muszę że bie-

daczka długo cierpiała, choroba była zacięta i kosztowała mnie wydatków nie mało. Raz ciekawy byłem przypatrzyć się mojéj żonie w polu, i podsunąłem się z jednym towarzyszem na płac gdzie tańczyła, i gdy tam z ustronia patrzę jak wyskakuje raczéj dzikie źwierzę a nie jak ludzkie stworzenie, mówię do towarzysza: „Wszak-to nie musi być moja żona,“ a mój towarzysz na to w śmiech, i śmiał się przez całą drogę i w domu jeszcze.

Mężczyźni są bezpieczniejsi, nie ulegają téj pladze ile kobiéty, chociaż zupełnie wyjęci nie są; doświadczyłem zresztą że ta choroba panuje więcéj w prowincyi Tigre, mniéj zaś w kraju Amhara i Galla.“

STRAŻNICA MORSKA.

Trajedya w dwóch aktach, wierszem polskim z Houwalda.

Przekład p. N. H.

(Ciąg dalszy.)

Akt II.

Scena 1.

(Dzika, skalista morska okolica bez widoku na morze. — Dnieć zaczyna).

Ulrych. *(z arfą siedzi na ułamku skały).*

Przed światłem, co dnia otwiéra nam wrota,
W jaskinie, w lasy ucieka ciemnota
Aby przed słońcem się skryła.
Zgryzoto, nigdyż do domu nie wrócisz?
I serca mego i wzroku nie rzucisz,
A gdzież jest dom twój? Mogiła.

(Schodzi ze skały, a widząc Kaspra i Dorotę, zostaje na skale, i słucha).

Scena 2.

Ciż. Dorota i Kasper.

Kasper.

Pójdź dziécie, bądź dobréj myśli,
Przestań próżne skargi głosić,
Przestań płakać, przestań prosić;
To co ci uczucie kreśli,
Najwyższemu Ojcu w niebie
Poleć, i módl się za siebie,
On znając serca skrytości....

Dorota.

Wielki Boże w swéj litości,
Racz że mi zesłać anioła
Który twoje serce zdoła
Znowu mi napowrót wrócić.

Kasper.

Córko zaprzestań się smucić,
Wszak mimo całéj przewiny
Jaka twe sumienie gniecie,
Nikt cię tak nie kocha w świecie
Jako twój ojciec jedyny.
A choć go to boli skrycie,
Iż jego jedyne dziécię,
Mimo przestróg i zaklęcia
Padło miłości w objęcia!
Jednakowo w téj potrzebie
Nieopuści ojciec ciebie;
Bo gdy dłużéj będziesz żyła,
Sama przyznasz córko miła,
Iż i w objęciach miłości
Nie byłaś w takiéj pewności
Jak pod ojcowską opieką,
Która czasem błędy zgani!

Dorota.

O twoja dobroć daleko
Srożéj moje serce rani,
Niżeli twój gniew zawzięty!
O nie klnij ten ogień święty
Który w mojém sercu płonie,
Wszak młodzian który w mém łonie
Wzbudził ten zapał prawdziwy,
Jak ty dobry i cnotliwy.

Kasper.

Chętnie wam obojgu wierzę,
Iż on jak zwodziciel skrycie
Niechciał postąpić w téj mierze,
I uwieść mi moje dziécię.
Wszakże mnie wyszukał w nocy,
Oświadczył miłość dla ciebie,
Całą winę brał na siebie
Gdym go łajał z całéj mocy,
Żeś lepiéj nie pilnowała
I światłu lamp zgasnąć dała,
Serce co jak jego czuje,
Czy z miłością nie żartuje!
Ale w górze tam nad nami,
Boskie oko czuwa wszędzie
I gniewa się, gdy w zapędzie
Córka za ojca plecami
Łączy się na całe życie,
Nie otwarcie, ale skrycie;
A przekleństwo za przewiny
Czepia się takiéj godziny,
Bo gdyś ty na jego łonie
Miłośne rozkosze ssała,
Okręt w morskich wodach tonie
A na tobie wina cała
Za te ulotne rozkosze.

Dorota.

Ojcze ulituj się proszę,
Niech ma rozpacz litość wzbudzi.

Ulrych. *(ze skały).*

Na twéj córce winy niéma,
Bo kiedy los sądy trzyma,
To mu nie trza światła ludzi
Aby osądził nie mylnie.
Mnie zesłała wyższa moc,
Za sznur pociągnąłem silnie
Aby zwyciężyła noc!

(Kasper i Dorota na te słowa przerażeni, odstępują od siebie),

Kasper.

Bracie więc przez twoją winę?

Ulrych.

Przestań dręczyć tę dziewczynę,
I nie wzbraniaj jéj miłości
Co tak lubo w sercu gości
I osładza życia drogę;
Odkąd na tym brzegu bawię,
Tego skarbu co dzień prawie
Szukam, a znaleźć nie mogę! *(odchodzi)*

Scena 3.

Dorota. Kasper.

Dorota.

Zważałeś na słowa Stryja?
Teraz już wiesz, wina czyja,
Kto zgasił światło na wieży.

Kasper.

On je zgasił, na nim leży
Całego nieszczęścia brzemię;
Boże, wszak to z twojéj woli
Smutek go niszczy powoli,
Zanim go zagrzebie w ziemie,
Ty będziesz łaskawie sądził,
Jeźli jak szalony zbłądził.

Dorota.

Wielki Boże! nie pojęte
Są dzieła twojéj litości;
A więc już przekleństwo zdjęte
Ciężące na méj miłości.

Kasper.

Chwal go, o chwal, córko miła,
Iż on łaskaw jest na ciebie
W chwili coś nie zasłużyła,
W okropnéj serca potrzebie
Które pod ciężarem pada,
Iż Bóg przez usta waryata
Twego stryja, mego brata
Przebaczenie zapowiada;
Twego przekroczenia karta
I przez ojca już rozdarta.

Dorota.
O, ojcze droższy nad życie!

Kasper.
Moje drogie, biedne dziecię
Dla téj co mi ciebie dała,
Co mnie tak jak ty kochała,
Dla żony przebaczam tobie.

Dorota.
Ojcze, może-byś w téj dobie
Syna przycisnął do siebie.

Kasper.
Gdy go uznam godnym ciebie;
Lecz gdzież on?

Dorota.
Pobiegł w zapędzie
I patrzy po morzu wszędzie,
Czy nie zdoła nieść pomocy
Nieszczęsnym, którzy téj nocy....

Kasper. *(przerywa).*
Próżne jego jest staranie,
Skoro zabłysło zaranie,
Obchodziłem brzeg do koła
Czy nie widać jakiéj łodzi,
Czy kto o pomoc nie woła;
Lecz na morzu jak w mogile
A na brzegu szczątek tyle,
Że aż strach serce przechodzi.

Dorota.
Pozwól mi wejść na te skały,
Przeglądnę widnokrąg cały.

Kasper.
Idź ma córko, lecz się boję,
Iż próżne zabiegi twoje.

Dorota. *(wybiega na skałę).*
Mamże wierzyć wzroku sile,
Lecz tak jest, ja się nie mylę,
Tam na owéj strasznéj skale
Co śmiertelną się nazywa,
Stoi jakiś człek zuchwale,
I białą chustką powiewa.

Kasper. *(biegnie do niéj),*
Czy cię tylko wzrok nie zwodzi,
Ach, wszak prawda!

Dorota.
Patrz, na łodzi
Szybko jakby kamień z procy
Ktoś mu spieszy ku pomocy.

Kasper.
Któż być może ten zuchwały
Co mimo wzburzone wały,
Przez tak rozhukane morze
Małą łódką wodę porze.

Dorota.
Ojcze, to on!

Kasper.
Kto?

Dorota.
Jam poznała
To jest Walter — niebios panie!
Miéj-że nad nim zlitowanie!
Walter! Walter! ach! Walterze!
Zostań, twa łódka tak mała; —
Jeszcze go fala zabierze.

Kasper.
Więc to twój Walter Doroto?
Dzielny chłopak! kto z ochotą
W niebezpieczeństwie bliźniemu
Jak on ku pomocy bieży,
Ten ma i siłę potemu,
By wykonał co zamierzy,
Nie troszcz się więc, córko miła.

Dorota.
Gdybym choć ja przy nim była,
Mnie już znają morskie fale,
On ich nie zna, sam wśród toni.

Kasper.
Patrz, już zbliża się ku skale
Nieszczęśliwy, już łzy roni,
Ku niemu wyciąga ręce
Że koniec już jego męce;
Cierpliwości moment mały,
On cię uratować zdoła,
To chłopiec dzielny i śmiały.

Dorota.
Bóg ci w nim zsyła anioła!
Już przybija — już wysiada.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Gretna-Green wioska o 2000 mieszkańcach na pograniczu z Anglii do Szkocyi, odgrywa niepoślednią rolę w instytucyach Wielkiéj Brytanii; sława jéj rozeszła się po świecie i do niéj tęsknią wszyscy którym kościół, rodzice, krewni, opiekunowie przeszkodę w zamężciu stawiają, wszyscy, związkom których sprzeciwia się stan, godność, obyczaj, oględy familijne, przyzwoitość społeczeństwa i względy duchowieństwa anglikańskiego. Kowal w Gretna-Green posiadł powagę przed nimi wszystkimi, nlegli mu wszyscy, bo związki które skojarzył, nikt rozwiązać nie jest mocen, ani świecka ani duchowna władza je nie zerwie, śluby przed nim są święte, stanowcze i nierozwięzalne. Zkąd mu taka władza urosła, dziwne o tém toczą się wieści miedzy ludem, i dodają że któryś z królów nadał kowalowi Gretna-Greenskiemu prawo takie przez wdzięczność że go przechował i ocalił przed nieprzyjaciołmi. Wierzylibyśmy temu gdyby ze starych instytucyi kościoła Szkockiego wiadomém nie było, że u nich każdy obywatel ma prawo kojarzyć stadła małżeńskie byle obecnych było dwóch świadków przed którymi państwo młodzi oświadczą że nie są spokrewnieni, że są bezżenni a chcą zostać ten mężem ta żoną. Oświadczenie to nie jest bynajmniéj przywiązane do miejsca, owszem cała Szkocya jest ślubu ołtarzem, a Gretna-Green wsławiła się jedynie dlatego że jest piérwszym przybytkiem na pograniczu Anglii dla zbiegłych kochanków z Anglii. Leży przy gościńcu z Londynu do Edynburga obok drugiéj równie sławnéj wioski Springsfield, i nazywa się właściwie Graithney-Green, a zaczęła się osławiać dopiéro z rokiem 1764, kiedy jakiś Józef Paisley objął miejscową gospodę i zaczął śluby rozdawać. W roku 1790 spalił się dom Paisleya przez nieostrożność młodych nowożeńców którzy sobie tu gody weselne sprawiając spłonęli w płomieniach. Paisley przeniosł się wtedy z Gretny do Springsfield i zamieszkał u przyjaciela kowala, na którego późniéj przelała się cała powaga i sława aż po rok 1814 dzień jego śmierci. Spadkobiercy kowala teraz po nim urzędują, jednak goście zwykle zajeżdżają na stare miejsce w Gretnie i w tamtejszéj gospodzie obchodzą śluby bez dalszego zawodu, bez zapowiedzi, bez pozwolenia rodziców, ale złożyć muszą pewną taksę wedle godności i znaczenia, przynajmniéj piętnaście gwineów, co czyni gospodarzowi dochód nie mały, gdyż obliczono że po siedmdziesiąt stadeł do roku spaja. Do znakomitszych osób którzy się w tych czasach tu połączyli, należy książę Kapuy z Miss Penelopą Smith w r. 1836, i Lord Brougham dzisiejszy Par Anglii. — Ale to jeszcze służy za warunek że państwo młodzi powinni być pełnoletni, małoletnim zaś tylko za przyzwoleniem rodziców wolno do kowala.

Towarzystwo ogniowe w Anglii zabezpiecza w wydanéj rękojmi od pożaru mebli, wszelkie wynagrodzenie szkody pochodzącéj z ognia. Na mocy tego zaręczenia Lord Maxwell zawezwał Towarzystwo do zapłacenia 80 gwineów za 6 skrzyń cygarów hawańskich które z dymem puścił, i za 50 flasz Rumu Jamajki, dlatego że także od ognia przy ponczu spłonęły. Towarzystwo pokryło stratę, ale zaskarzyło Lorda o podpalenie.

Podłoga gliniana w stajniach końskich.

Wybrawszy ziemię w miejscu gdzie ma być podłoga, nakłada się na stopę grubą warstwę gliny dobrego gatunku, a więc nie bardzo chudéj. Zwilgotnia się tę warstwę o tyle, aby się glina dała dobrze przerabiać, co tak długo trwać winno, dopóki glina nie utworzy ciągnącéj się jak ciasto massy, poczém się warstwa wyrównywa. Za pomocą polewaczki skrapia się teraz przestrzeń około pręta □ (6 łokci wzdłuż i wszérz) wynoszącą, tak długo, dopóki powierzchnia o tyle nie rozmoknie, aby się dała jak można najrówniéj ugłaskać. To się uskutecznia za pomocą szufli lub łopaty, którą kaszowatą massę tak długo się głaska, dopóki nie będzie zupełnie gładką i niemal połyskującą. Skoro jedna część podłogi jest wyrównana, postępuje się tak samo z innemi kawałkami aż do końca.

Kiedy już cała przestrzeń jest wyrównana, a wody na powierzchni nie widać, posypuje się na nią, dopóki jeszcze glina jest wilgotną, równą jednostajnie warstwę czarnego (hidraulicznego) wapna, na grubość silnego źdźbła słomy. Wapno czarne chwyta się szybko i silnie wilgotnéj gliny; nie należy niém jednak ani wcześniéj ani późniéj, albo też grubiéj jak wskazano, posypywać, inaczéj bowiem zrobi się kruchém i łatwo odskakuje; uważać niemniéj należy, aby woda na warstwie gliny nie stała.

Po upływie 6 godzin, podłoga tym sposobem przyrządzona, tak będzie twardą, iż można po niéj chodzić, śladu nóg nie zostawiając; a po upływie 14 dni, kiedy już i dolna warstwa gliny dokładnie wyschła, utworzy wszystko nie zwykle spojną, nakształt rogu massę, wszelkie uderzenie i ciśnienie wytrzymującą. Wysychaniu glinianéj podłogi dopomódz jeszcze można, dając na sam spód warstwę suchego piasku, jak przy urządzaniu klepiska w stodołach.

(Tygodnik rolniczo-przemysłowy Krakowski).

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*